



HERYTIERA
KATARZYNA BARLIŃSKA

P I Z G A C Z



BITTER



ROZKWIT
FAZA II



beyA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Redaktor: Beata Stefaniak-Maślanka

Szczególne podziękowania dla Zuzanny Kłak

i Moniki Marszałek za pomoc w tworzeniu okładki

oraz dla Nicolii Krzywosądzkiej za pomoc przy korekcie tekstu.

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: beya.pl

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

beya.pl/user/opinie/pownas

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-0729-4

Copyright © P.S. Herytiera „pizgacz” 2025

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność



KROK 33.

TA NOC NIC NIE ZNACZYŁA

Dla lepszego samopoczucia społeczeństwa funkcję budzika w telefonie lepiej było pozostawić w dwudziestym wieku.

Głośny dźwięk wbijał mi się w czaszkę jak tysiące cienkich igieł. Po omacku szukałam komórki, by wyłączyć alarm, jednak moje starania spęłżyły na niczym. Uchyliłam powieki. Przez moment studiowałam idealnie biały sufit swojej sypialni, aż w końcu zmarszczyłam brew i powoli dźwignęłam się na łokciach. Leżałam na łóżku przykryta kołdrą oraz dwoma kocami.

– Co jest? – wychrypiałam słabo.

Popatrzyłam na ścieżkę stworzoną z porozrzucanych po podłodze ubrań, która prowadziła do uchylonych drzwi łazienki. Wspomnienia z minionej nocy uderzyły.

Oddech. Jeden. Drugi. Trzeci.

Zerknięcie na własne dygoczące z zimna dłonie, na deszczownicę, z której wciąż lała się lodowata woda, i znowu na białe ręce. Zmuszenie odrętwiałych palców do zakręcenia kranu. Przejście do sypialni. Mokre plamy pozostawione na jasnym drewnie jak ślady wstydu. Wyszarpianie koców z komody. Położenie się w łóżku i nakrywanie kolejnymi warstwami, co i tak nie przynosiło ukojenia. Drżąca broda, dźwięk szczękania zębami, mokre włosy na poduszce. Uczucie przypalania skóry rozgrzanym pogrzebaczem do kominka. Pograżanie się w niespokojnym śnie.

Natychmiast poderwałam się do siadu. Przeszył mnie nieprzyjemny dreszcz. Liczyłam, że to tylko koszmar, ale wystarczyło mi dotknięcie wilgotnej poduszki, bym zrozumiała, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

– Kurwa. Kurwa, dlaczego? Dlaczego... – szeptałam gorączkowo, przyciskając rąbek kołdry do nagiej piersi.

Obrazy z poprzedniego wieczoru przesuwwały mi się przed oczami, z każdą sekundą coraz wyraźniejsze. *Hurtownia, przerażający mężczyzna, Shey, kuchnia w rezydencji Mitchellów...* Zaczepiłam powietrze, jednak czułam, że to za mało. Kiedy spróbowałam wziąć głębszy wdech, ktoś trzy razy zapukał do drzwi.

– Victoria? – usłyszałam stłumiony głos Theodora. – Mogę wejść?

Błyskawicznie wyrwałam się z letargu. Moje zmysły się wyostrzyły, umysł stał się przytomny i czujny.

– Zaraz! – odkrzyknęłam.

Wyskoczyłam z łóżka. Szybko wciągnęłam na siebie pierwsze lepsze dresy i bluzę. Odnalazłam telefon w kieszeni futra i wreszcie wyłączyłam irytujący budzik. Wyrównawszy oddech, przybrałam najbardziej neutralną minę, na jaką było mnie stać. Otworzyłam drzwi.

– No dzień dobry. – Theo promiennie się uśmiechnął. – Co się stało, że nie wstałaś o szóstej, ranny ptaszku?

Kurwa. Musiałam źle nastawić budzik. Łosoś. Jasmine. Kurwa!

– Po co tu jesteś? – Zaciśnęłam palce nieco mocniej na kłamce.

– Niedawno wróciłem z ojcem z tej cholernej wsi. Dałabyś wiarę, że zawody w cięciu drzewa na czas są tak nudne? – jęknął męczeńsko. – Chciałem zapytać, czy jedziesz ze mną na mecz.

– Mecz? – wypaliłam zdezorientowana. – Jaki mecz?

– No koszykówki. W naszej szkole. Ten, o którym wszyscy mówią.

Zrozumienie mnie dopadło, było nagłe. *Ten mecz!*

– Dobrze się czujesz? – zmartwił się Theo. – Jesteś jakaś blada.
– Czuję się świetnie – skłamałam pewnie. – Nie idę na żaden mecz, żeby oglądać grę miernych chłopców.

– Widzę, że duch drużyny cię nie natchnął. – Odchylił się na piętach. – Mimo to uważam, że powinnas pójść. W końcu grają Mitchellowie, a ty podobno przyjaźnisz się z Nate’em. Wypadałoby mu pokibicować. Poza tym przyda ci się trochę rozrywki.

– Cóż, ja tak nie uważam – wycodziłam coraz bardziej rozłoszczona. – Coś jeszcze? Jestem zajęta.

– Tylko tyle. – Wycofał się, ale nim wrócił do siebie, posłał mi ostatnie spojrzenie. – Wyjeżdżam za dwie godziny, gdybyś zmieniła zdanie.

Zniknął w sypialni. Zamknęłam drzwi, oparłam się o nie plecami i zerknęłam w kierunku łazienki.

Stałam tam, dopóki moje zaczerwienione ciało nie przestało odczuwać chłodu, bólu, jakichkolwiek bodźców zewnętrznych.

Objęłam się ramionami i wbiłam paznokcie w skórę. Pragnęłam się spoliczkować, zwyzywać za to, że okazałam się prymitywna i słaba. Że zasnęłam zziębnięta, naga i żałośnie skulona, wciskając twarz w mokrą poduszkę. Że zrobiłam coś tak uwłaczającego, i to przez jeden, nic nieznaczący wieczór u boku...

U boku Sheya.

Pasja w jego oczach sprawiła, że na chwilę straciłam rezon. To było coś nowego, nieznanego, ale w kuchni z dala od rzeczywistości, kiedy nieoczekiwanie dzieliłam się z nim traumą, o której miał wiedzieć tylko on, poczułam, że to jest właściwe.

Bez zwłoki zebrałam ubrania, które kilka godzin temu tak ekspresowo z siebie zrywałam. Wcisnęłam je niedbale do garderoby. Klucze w żołądku przybrało na sile.

– Weź się w garść – szeptałam pod nosem. W tym całym chaosie emocji odnalazłam dzięki temu namiastkę spokoju.

Sytuacja w kuchni Mitchellów była wynikiem zmęczenia i stresu, który przeżyłam pod hurtownią. Na domiar złego

spędziłam cały wieczór z *parszywym degeneratem*. To wszystko razem zaowocowało momentem słabości, momentem, który nigdy się nie powtórzy.

Nie możesz być tak słaba, to odrażające. Bądź lepsza.

Mój telefon wydał z siebie krótki dźwięk informujący o nowej wiadomości. Wyciągnęłam go z kieszeni.

Cameron Wilson:

Mam nadzieję, że jednak przyjedziesz dziś na mecz. Moja PRZYJACIÓŁKA musi być obecna. Co ja tam bez ciebie zrobię??

Zignorowałam to na poczet innej wiadomości, którą dostałam parę minut wcześniej.

Jasmine Sharewood:

Nie wiem jak to zrobiłaś ale po szóstej pod moim domem pojawił się goryl z blizną na twarzy. Myślałam, że to mafia i ngł trochę się zlekłam. Ale dał mi rybę i powiedział, że jest od ciebie. Dostałam za nią max punktów na zajęciach. Od kiedy umiesz filetować łososie? I masz na posyłki tajemniczych typów w garniturach?

Przeczytałam tekst jeszcze cztery razy. Wiedziałam, że chodzi jej o Borysa – nowego kierowcę Mitchellów. Musiał go wysłać Shey, choć zadeklarowałam, że to ja dostarczę rybę Jasmine. Zrugłam się za swoją niesubordynację, zawsze działałam perfekcyjnie i doprowadzałam sprawy do końca, a tu całkowicie zawałam! Nie zrobiłam tego, co powinnam, poniosłam klęskę przez głupi kryzys.

Dlaczego Shey to zrobił? – spytałam samą siebie, jednak zaraz się za to skarciłam. Zasnęłam, ale dzięki Borysowi nasze wysiłki nie spęły na niczym. Tylko to się liczyło, nad motywacją Sheya nie zamierzałam się dłużej głowić.

Czas mijał, a ja stopniowo wracałam do znajomej rzeczywistości. Bałagan w umyśle zniknął, emocje ucichły.

Usłyszałam pukanie do drzwi. Zablokowawszy telefon, odwróciłam się w kierunku mamy, która jak zwykle bez pozwolenia wparowała do pokoju.

– Dzień dobry, kochanie. – Mimo widocznego zmęczenia uśmiechała się z zadowoleniem. – Ach, dyżur był ciężki. Wróciłam pół godziny temu. Pójdę odespać, ale najpierw chciałam się przywitać i zapytać, czy wszystko w porządku. Gdy wychodziłam, drzemałaś, nie chciałam cię budzić.

– Spałam jak dziecko przez całą noc. Nie obudziłam się ani na moment.

Kłamstwo miało słony smak. Jakbym jadła pistacje. Zaciśnęłam usta w wąską linię.

– Cudownie. W takim razie teraz pora na mnie. – Nim wyszła na korytarz, ponownie się odezwała: – Och, Theo mówił, że wybiera się na mecz w waszej szkole. Gra Nate. Jedziesz mu pokibicować, prawda? – Była podekscytowana.

Przeanalizowałam odpowiednie wymówki.

– Właściwie myślałam, że...

– Oczywiście, że jedziesz! – przerwała mi. – Nigdy nie byłaś na meczu, choć tyle razy cię namawiałam. Wiem, że Lily z Rhysem też będą. Na pewno się ucieszą, gdy cię zobaczą. Oczywiście nie bardziej niż Nate. Jak nic zadedykuje ci kilka punktów. – Rozmarzona wzdychała raz po raz. – Och! – Uniosła ręce, jakby coś sobie uświadamiając. – Weszłam ci w słowo. Co chciałaś powiedzieć?

Przygryzłam słuzówkę policzka. Poczułam na języku metaliczny posmak krwi, ale mimo to zmusiłam się do bladego uśmiechu.

– Że muszę się już zbierać, aby się wyrobić.

Lazurowe tęczówki mamy wypełniły się milionem błyszczących drobinek.

– Wyściskaj porządnie Nate’a. Jestem pewna, że to przyniesie mu szczęście. – Zawadiacko puściła do mnie oczko.

– A Luke’a i Matta to nie? – Ukryłam irytację pod obojętną miną.

– Nie.

Opuściła pomieszczenie.

Przytknęłam pięść do czoła, bo plany, by zaszyć się w domu na całą sobotę, runęły jak domek z kart. Musiałam wyzbyć się nerwowości, więc postanowiłam wziąć kąpiel. Zrezygnowałam z prysznica na rzecz wanny. Wypełniłam ją po brzegi, zrzuciłam z siebie ubrania i zanurzyłam się w gorącej wodzie.

Ta noc nic nie znaczyła.

Zamknęłam oczy.

I tak po prostu wspomnienie z tego paskudnego sierpniowego dnia sprzed czterech lat kolejny raz wśliznęło mi się do głowy, burząc każdy mur, rujnując każdą ścianę, łamiąc każde zabezpieczenie.

– Ale ja mogę się zmienić, naprawdę. Po prostu powiedz mi, co zrobiłam nie tak... Proszę, nie zostawiaj mnie. Przecież jesteśmy przyjaciółmi. – Słona łza spływająca po moim policzku. Słabe chlipanie.

– Przyjaciółmi? Nie obrażaj mnie. Jesteś przy mnie nikim. Byłaś fajna na chwilę, ale teraz idziemy do nowej szkoły. Nie chcę, aby ktokolwiek cię ze mną kojarzył.

– Nate, Gwiazdko, proszę, nie mów tak.

– Nie nazywaj mnie tak, to obrzydliwe. – Wzdrygnięcie. Tak bardzo mną gardził.

Objęcie się dygoczącymi ramionami.

– Dlaczego taki jesteś, Nate? Nie rozumiem. Co się stało? Przecież wczoraj było wszystko dobrze, mówiłeś, że jestem dla ciebie ważna. Mielśmy spędzić razem ten pierwszy dzień szkoły. Przecież wiesz, że się tego boję. Tego, jak mnie przyjmą. Proszę, porozmawiaj ze mną. Co się zmieniło?

– Zrozumiałem, że należę do Mitchellów. A ty nic nie znacysz. Nie pasujesz do mnie. Jestem zbyt cenny, podczas gdy ty jesteś zbyt bezwartościowa.

Mój świat walący się w posadach.

Otwarcie furtki, ostatnie spojrzenie chłopaka – gorsze od każdego poprzedniego.

– To, co mieliśmy, to nawet nie był związek. To było sześć miesięcy chodzenia potajemnie za rączkę. Myślisz, że dlaczego chciałem zachować to w tajemnicy? I nigdy naprawdę cię nie pocałowałem? Brzydzisz mnie, ale mogłem się przy tobie poczuć lepiej. Nie chcę, aby ktokolwiek dowiedział się o tym, że cokolwiek mnie z tobą łączyło. Nie zniósłbym tego upokorzenia. Zostaw mnie w spokoju, wariatko.

Nieważne, ile sił włożyłam w to, by nie przypominać sobie o tym jednym dniu, ilekroć zobaczę, usłyszę czy poczuję coś, co mogłoby przywołać jego wspomnienie. Cztery lata starań zniweczył jeden wspólnie spędzony wieczór, który mi pokazał, jak bardzo jestem bezbronna, słaba, niedołączna i ile są warte moje założenia.

To nie oznaczało jednak, że się poddałam. W miejsce fortyfikacji, które upadły, zamierałam wznieść nowe, większe, mocniejsze.

Bo jestem ponad to.

Poprzednia noc dała mi coś, czego nie potrafiłam odnaleźć od miesięcy. Podarowała mi *świadomość*, że choć nie umiem do końca zapomnieć, to zawsze mogę się jeszcze bardziej uodpornić. Choćbym wciąż i na nowo rozpamiętywała nasze rozstanie i budziła się, mając pod powiekami obraz tego cholernego sierpniowego dnia, nie będzie więcej duszności, przyspieszonego pulsu i zasypiania w męczarniach.

Bo mierny *Shey* nie był tego godzien.

Zsunęłam się pod taflę wody.



Cameron Wilson:

To będziesz na meczu?? No proszę, to mój pierwszy mecz w życiu, w poprzedniej szkole nigdy na żadnym nie byłem bo mnie nie lubili

Cameron Wilson:

To dla mnie ważna chwila, TO INICJACJA

Victoria:

Wygrywasz plebiscyt na najbardziej denerwującą osobę miesiąca.

Cameron Wilson:

A dostanę nagrodę?

Odetchnęłam z irytacją, przesuwając błyszczkiem po wargach. Do mojej sypialni, po uprzednim zapukaniu, wszedł Theo.

– Mama powiedziała, że jedziesz ze mną na mecz. – Oparł się o framugę.

– Niestety tak. – Wstałam od toaletki i wygładziłam jasny materiał jeansów. – Nie miałam z nią szans, gdy była tak podniekcytowana i ciągle trąkotała o tym, jak wielkie szczęście przyniosę degeneratowi. – Wzdrygnęłam się z odrazą. – Muszę się skupić na odzyskaniu biletu, a jeśli oglądanie tego cyrku mi w tym pomoże, to się poświęcę.

– Mhm. – Rozejrzał się po pokoju. Zmarszczył brwi. – Ładne kwiaty. – Wskazał brodą na wielki bukiet piwonii stojący na stoliku przed kanapą. – Podobno wysłał ci je Cameron. Ma gest, ale jestem zaskoczony, że trzymasz je tu, a nie w salonie.

– Niby dlaczego?

– Victoria, ty nie cierpisz roślin. Szczególnie kwiatów. Gdy z Dantem i Juliusem kupiliśmy ci bukiet na siedemnaste urodziny, kiwnęłaś głową i go nam oddałaś, bo nie chciałaś, aby zaśmiewał ci pokój. – Theo parsknął. – Zapomniałaś o tym?

Zamrugałam, nie do końca wiedząc, jak to skontrować. Nie-
nawidziłam kwiatów, więc dlaczego ta wiązanka od odrażają-
cego degenerata dalej oszpecała mi sypialnię?

– Nie miałam czasu ich wyrzucić – zdobyłam się na marną
wymówkę, w którą nawet ja sama nie uwierzyłam.

Theo udał się na dół. Podążyłam za nim, przysięgłszy w du-
chu, że jeszcze dziś pozbędę się bukietu.

Przez korki dotarliśmy do szkoły dwadzieścia minut przed
rozpoczęciem meczu. Znalezienie wolnego miejsca na parkingu
graniczyło z cudem. Przez plac przetaczały się hordy uczniów
i łatwo było odróżnić, kto komu kibicuje. Zwolennicy Naperville
North przywdziali czarno-złote barwy, ci będący za Naperville
South – biało-niebieskie.

– No to dziś zobaczymy, co potrafią nasi sławni bracia. –
Theo zgasił silnik camaro.

Gdy wraz z tłumem kierowaliśmy się do hali sportowej, prze-
kлинаłam każdą sekundę tego marszu przy akompaniamencie
głośnych rozmów i walenia w bębny. Po niespełna minucie
Theodor odciągnął mnie na bok, ponieważ zauważył kilka zna-
jomych osób, które przystanęły niedaleko głównego wejścia.

– Witamy rodzeństwo Clarków! – zawołał roześmiany Chris.

Obok niego stała Mia, dalej dostrzegłam Laurę, Jasmine
i Camerona, który na dźwięk głosu Adamsa widowiskowo się
skrzywił.

– O, Victoria, jednak przyszłaś. – Kąciki ust Mii poszybo-
wały ku górze.

– Zmieniły mi się plany – mruknęłam, ponownie czując to
nieznośne klucie w klatce piersiowej. Liczyłam, że uda mi się
szybko ewakuować.

– To moja zasługa – zaświergotał szczęśliwy Cameron. –
Przekonałem cię swoim urokiem osobistym, prawda?

– Wierzysz w magię, że mówisz o czymś, co nie istnieje? –
dociał mu Chris.

– Nie wydaje mi się, bym wspominał o twoim intelekcie. – Wilson zazgrzytał zębami.

– Wieśniak – prychnął Chris, unosząc z dumą brodę.

– Jestem taka podekscytowana. I zestresowana. – Laura nerwowo skubała palcami rąbek swojej fioletowej sukienki.

– Nie martw się, Scott wypadnie świetnie – pocieszył ją Theo. – Luke się nim zachwycał, był pewny wygranej. Mitchellowie, choć potrafią być irytujący, mają dobrą intuicję i... – Nagle natrafił spojrzeniem na coś, co go zainteresowało na tyle, że przerwał w pół zdania. – O wilku, a może wilkach, mowa.

Wszyscy jak na zawołanie zerknęliśmy w kierunku, w którym patrzył. Mitchellowie szli w odosobnieniu inną ścieżką prowadzącą do drugiego wejścia, które zapewne wyłączono z powszechnego użytku i przeznaczono tylko dla nich. Rhysovi i Lily towarzyszyło kilka osób: paplający dyrektor Forbes, młoda, niska kobieta i trzech mężczyźni w średnim wieku. Wszyscy w eleganckich ubraniach i z perfekcyjną postawą prezentowali sobą idealny obraz luksusu. Ten efekt potęgowała jeszcze eskorta w postaci dwóch ochroniarzy.

– Nie sądziłem, że przychodzą na mecze – powiedział Cameron.

Nim weszli na halę, przystanęli, słuchając opowieści dyrektora Forbesa. Lily lustrowała otoczenie i niespodziewanie popatrzyła na naszą grupę. Odwróciliśmy głowy, udając, że wcale się w nich nie wgapialiśmy, ale było już za późno – przyłapała nas.

Poprawiałam rękawy golfu z nadzieją, że kobieta pójdzie dalej, jednak *oczywiście* los przygotował inny scenariusz. Matrona rodu Mitchellów wraz z ochroniarzem, który samym wyglądem odstraszał tłum, ruszyła ku nam.

– O Boże, ona do nas idzie! – wyszeptał Cameron.

On, Laura i Jasmine wyraźnie się spięli.

Zakłęłam szpetnie w duchu, ale przywołałam na twarz wymuszony półuśmiech.

– Dzień dobry! – przywitała się wesoło Lily, gdy energicznym krokiem pokonała dzielący nas dystans.

– Dzień dobry, pani Mitchell – przywitał się kurtuazyjnie Chris. – Piękny mamy dzień, nieprawdaż? Słońce dziś niesamowicie dopisuje.

– Tak, doprawdy, jest cudownie. To wspaniale, że przyszlicie kibicować drużynie – potaknęła entuzjastycznie.

– Wspieranie ich to nasza powinność. – Głos i postawa Mii ociekały pewnością siebie.

Lily przelotnie rzuciła na nią okiem.

– Podoba mi się to podejsście – skwitowała, jednak nie poświęciła dziewczynie więcej uwagi, ponieważ za cel obrała sobie mnie. – Och, Victorio, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że zdecydowałeś się dziś tu przyjść! – zawołała rozpromieniona, a ja zaczęłam się obawiać, że rozciągnięte w uśmiechu usta zaraz wplączą jej się we włosy. – Jak się czujesz? Co u rodziców? Muszę w końcu złapać Joseline. Od tygodnia chcę ją ściągnąć na kawę, ale ciągle mi się wymyka.

– Ma dużo pracy – poinformowałam.

– O wiele za dużo. Nate nie wspominał, że będziesz. Jak zwykle trzyma wszystko w tajemnicy. – Przewróciła oczami.

– Był zestresowany meczem, musiało mu to umknąć – wysiliłam się na uprzejmy ton.

– Pewnie tak. – Lily skinęła, nieco poważniejąc. – Kochanie, możemy na słówko? Chciałabym cię o coś zapytać.

Nawet gdybym nie miała ochoty, to byłoby bez znaczenia, ponieważ nie mogłam jej odmówić, a ona o tym wiedziała. Odeszłyśmy, tak by nikt nas nie podsłuchał.

– Cieszę się, że cię tu dziś złapałam. Od kilku dni zbierałam się do tego, by z tobą pomówić, ale jakoś nie było okazji... – zaczęła cicho. Nieudolnie starała się ukryć nerwowość. – W czwartek organizujemy bankiet. Bardzo kameralny, jedynie dla kilkudziesięciu osób. Może Nate ci o nim wspominał. Z początku

zamierzaliśmy zaprosić tylko... rodzinę, ale twoi rodzice są dla nas w sumie jak rodzina. Znamy się od lat. Prawdę mówiąc, zaprzyjaźniłam się z twoją mamą, gdy tylko związałam się z Rhysem. Była dla mnie zawsze serdeczna i wyrozumiała. – Wyglądała sukienkę, odchrząkując. – Widzisz, mam ogromną prośbę.

Wszystkie lampki w mojej głowie zaświeciły się neonowym czerwonym kolorem.

– Czy... czy mogłabyś przyjść z rodzicami i Theo? – zapytała.

Słyszałam, jak zebra gruchoczą mi pod naporem niewidzialnego ciężaru.

– Zapraszam cię osobiście, bo wiem, że tak będzie ci trudniej odmówić. Możesz uznać to za całkowity brak kultury, a ja się z tobą zgodzę, ale widzisz... Niesamowicie zależy mi na tym, byś do nas dołączyła. Potraktuj to zaproszenie jako... pojednanie. W końcu po wielu latach się pogodziliście. Trzeba to uczcić. Ty i Nate teraz się przyjaźnicie.

Spróbowałam zebrać myśli, by ułożyć logiczne zdanie, którym przekażę Lily, że postradała zmysły, ale jak na złość nie byłam w stanie. Nie istniała żadna rzeczywistość, w której zgodziłabym się na coś tak abstrakcyjnego jak udział w rodzinnym spotkaniu klanu Mitchellów, nawet jeśli miała uciepieć na tym wiarygodność naszej domniemanej *przyjaźni*.

Kobieta musiała wyczytać z mojej twarzy niechęć, bo szybko dodała:

– Wiem, że cię zaskoczyłam, ale tak dobrze dogadujesz się z Nate'em... Jestem pewna, że się ucieszy, jeśli się zgodzisz.

– To on nie wie, że mnie pani zaprosiła? – wypaliłam.

– Cóż. – Wzruszyła lekceważąco barkiem. – Musiał się skupić na meczu. Ale z pewnością sprawisz mu przyjemność, pojawiając się na bankiecie. W końcu teraz się przyjaźnicie. Pozna cię reszta rodziny. To ważna noc dla Nate'a. Obecność twojej rodziny i ciebie będzie dla niego cenna.

Jeśli starała się mnie tym przekonać, to wybrała najgorszą z możliwych opcji. Postanowiłam być stanowcza.

– Naprawdę mi pani schlebia, ale sędzę, że nie jestem odpowiednią osobą, by do państwa dołączyć. Nie jestem nikim ważny...

– Nonsens, moja droga. – Machnęła dłonią z idealnym manicure'em. – Jesteś bliska Nate'owi, to czyni cię ważną. Poza tym wystosowałam do was oficjalne zaproszenie. Poinformowano mnie, że dostarczono je twojej mamie kilkanaście minut temu. Bardzo się ucieszyła i potwierdziła obecność całej waszej czwórki. Niestety twoi młodszy bracia są jeszcze za mali, by mogli wziąć udział w takim wydarzeniu.

Byłam pewna, że upuszczenie kuli do kręgli na stopę bolało by mniej niż świadomość, że tak łatwo dałam się zapędzić w kozi róg. Skoro mama wiedziała o zaproszeniu i już je przyjęła, nie miałam szans wymigać się bez wszczynania kłótni i budzenia podejrzeń. Ten bankiet wydawał się poza tym idealną okazją, aby utwierdzić ją w przekonaniu, że się zmieniłam i odrzuciłam uprzedzenia.

Żegnając się z resztkami godności, uniosłam kącik ust i potaknęłam.

– W takim razie już nie mogę się doczekać – wyznałam.

Lily odetchnęła z wyraźną ulgą.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę. – Zaciśnęła ciepłą dłoń na moim nadgarstku. – Dziękuję.

W jej zielonych oczach dostrzegłam szczerą wdzięczność, ale i, o dziwo, obawę.

Posłała mi ostatni uśmiech, po czym odmaszerowała wraz z ochroniarzem.

Przymknąwszy powieki, jakoś przełknęłam to, że przyszły czwartek spędzę w paszczy lwa. *To dla planu* – powtarzałam. Wróciłam do reszty. Wszyscy udawali, że przez cały czas trwania tej rozmowy nie obserwowali nas z zaciekawieniem. Na szczęście nie wypytywali.

Laura jako pierwsza popędziła do głównego wejścia. Wraz z Cameronem szłam na końcu, kilka metrów za pozostałymi.

– Zakładam, że jesteś tu przez mamę? – zaczął.

– Tak. Była zachwycona. To jedyny plus tego meczu. Lista minusów jest o wiele dłuższa. I mogę dopisać kolejny, bo właśnie ja, Theo i moi rodzice zostaliśmy pierwszy raz zaproszeni na rodzinny bankiet Mitchellów – podzieliłam się z nim nową informacją. – Moja matka zapewne teraz płacze z radości.

– To dobrze, nie? To oznacza, że jesteście jako tako wiarygodni.

– Niby tak, ale nie podoba mi się ten pomysł. Mój początkowy plan odzyskania biletu nie zakładał wejścia w relacje z tą popieprzoną rodziną tak głęboko, by uczęszczać na ich tajne spotkania, organizowane tylko dla *najważniejszych*.

– Dla najważniejszych? – zainteresował się. – To jakieś specjalne bankiety?

– Tak, odbywają się raz na jakiś czas. Kiedyś wspominała mi o nich mama. Większość Mitchellów mieszka w górach, ale czasem przyjeżdżają do Naperville. Głównie na te bankiety. Rzadko pokazują się publicznie. Nawet nie wiem, jak wyglądają. Ale nie to jest istotne... Lily chce, żebym przyszła, bo ja i degenerat się pogodziliśmy.

– Powinnaś się cieszyć. Odniosłaś kolejne zwycięstwo.

– Zamiast się cieszyć, teraz liczę, że do czwartku zachoruję na ospę.

Weszliśmy do zatłoczonej hali i w odpowiednim, czarno-złotym sektorze zajęliśmy wolne miejsca z dobrym widokiem na boisko. Wciśnięto mnie pomiędzy Mię a Camerona. Wyłączyłam się z konwersacji, walcząc z uciskiem w piersi i jednocześnie spoglądając na kawałek trybun po lewej, który zajęli Mitchellowie wraz ze swoimi gośćmi.

– Zaraz powinni wyjść! – ekscytowała się Laura.

Z niesmakiem przeniosłam uwagę na maskotkę naszego ogólniaka – białego wilka w koszulce z logo szkoły, który tańczył z cheerleaderkami – i obserwowałam ją do momentu, gdy muzyka popłynęła głośniejsze, a komentator zapowiedział wejście drużyn. Jako pierwsi na boisko wbiegli gospodarze z czarująco uśmiechniętym Lukiem na czele. Tłum zawył w ekstazie na widok swoich ulubieńców. Niechętnie powiodłam wzrokiem po kolejnych twarzach, aż natrafiłam na Sheya, którego pojawienie się wzbudziło gorący aplauz.

– *Niemożliwe. – Nawet jego głos, niewiele głośniejszy od szeptu, zdradzał rozbawienie. Był miękki jak poduszka. – Victoria Clark potrafi się uśmiechać.*

Spiełam się nieznacznie, z całych sił odpychając wspomnienie z ubiegłej nocy.

Degenerat włożył taki sam strój jak ten, w którym trenował, z tą różnicą, że tak jak reszta zawodników miał na sobie dodatkowo czarną, zapiętą pod szyję bluzę. Z zaciętą miną skupiał się na zadaniu. W niczym nie przypominał chłopaka, z którym spędziłam wieczór w milczącej rezydencji. Nie uśmiechał się tak jak inni, był czujny, poważny. Nagle rozejrzał się po sektorze Naperville North. Lustrował go uważnie, od prawej do lewej strony, zupełnie tak, jakby kogoś szukał, a ja podejrzewałam, że tym kimś byli Mitchellowie, ewentualnie Mia. Znajdował się na tyle daleko, że nie widziałam jego oczu, ale byłam pewna, że znów miały mętny, paskudny odcień niebieskiego.

I dobrze, lepiej dla świata – przekonywałam samą siebie, choć dalej pamiętałam obraz czarnych onyksów. Mogłabym nawet napić się wybielacza, byleby tylko się tego pozbyć.

Kiedy trener krzyknął, chłopak się odwrócił i dołączył do zbiórki.

– To mój pierwszy mecz, cieszę się, że mogę obejrzeć go z wami! – zawołał Cameron.

– Ooo, jesteś z rodzaju tych uroczych! Lubię cię – obwieściła Mia i wyciągnęła rękę, by poczochnąć mu włosy. Wyszło to tak naturalnie, jakby robiła to tysiące razy.

– Jest uroczy. Nawet wysłał Victorii kwiaty – wtrącił się Theo.

– Och, serio? – westchnęła Mia. – To słodkie.

Przygryzłam śluzówkę policzka.

– Kwiaty? – Cameron podrapał się po skroni.

Gdy ledwie zauważalnie uniosłam brwi, pacnął się w czoło.

– Ach, te kwiaty! Tak, musiałem je wysłać mojej najlepszej przyjaciółce! – Wykorzystał okazję i objął mnie ramieniem.

Chwilę później, kiedy reszta skupiła uwagę na boisku, dyskretnie wbiłam mu łokieć w żebra. Odsunął się.

– Wisisz mi przysługę. I wyjaśnienia – szepnął.

Odśpiewano hymn. Zerknęłam na Sheya, który pozbył się bluzy, strzelił karkiem i zajął pozycję. Dzięki szerokim barkom i wysokiej sylwetce wyróżniał się na tle innych graczy. Przeczesał długimi palcami włosy.

Natychmiast się odwróciłam.

Pierwsza kwarta się rozpoczęła, a ja po dziesięciu sekundach obmyślałam dwanaście planów ucieczki. Z nudów znów spojrzałam na boisko i dostrzegłam, że Shey jest w posiadaniu piłki. Podał ją do czekającego pod koszem Matta, a ten zdobył pierwsze dwa punkty. Rozbrzmiały wiwaty.

Shey zacisnął dłoń w pięść, ale kącik ust mu nawet nie zadrżał.

Tak zleciało następnych kilkanaście minut. Co jakiś czas śledziłam grę. Kiedy degenerat rozgrywał akcję, zazwyczaj kończyło się to kolejnymi punktami na koncie drużyny. Kibice Namperville North się podrywali, ilekroć Shey był przy piłce. Choć nie znałam się na grze, z bólem zaakceptowałam to, że Shey przypominał dobrze naoliwioną maszynę. Obserwował boisko, zawsze wiedział, gdzie się ustawić. Robił to z taką swobodą, że

Luke, który w rzeczywistości był kapitanem, pozostawał w jego cieniu. Najstarszy z braci nie wydawał się jednak z tego powodu zawiedziony.

– Serio zaczynam współczuć tym drugim! – zawołał Cameron. – Nate ich miażdży!

– Jest jak tytan. Nie do zatrzymania – przyznała mu rację Jasmine.

Prychnęłam pod nosem, co wywołało chichot Mii. Przywołałam się do porządku.

– Tak, świetnie gra – mruknęłam najbardziej przekonująco, jak potrafiłam.

W połowie drugiej kwarty prowadziliśmy jedenastoma punktami. Szkolny zespół wygrywał przyśpiewki, a ja po czwartym usłyszeniu: „Nasz bohater Nate Shey przyniesie nam dziś tyle punktów, że hej!”, zapragnęłam połamać każdy puzon i flet.

– On jest niesamowity! – Niski głos dziewczyny siedzącej miejsce przede mną dotarł do moich uszu. Miała długie brązowe włosy.

– Kto? Luke? Czy Matt? – dopytała blondynka obok niej.

– Niece, oni są zbyt pewni siebie, ja lubię, gdy chłopak jest trochę wycofany! Dlatego wolę Nate’a, jest totalnie w moim typie! I podobno wyciska sto pięćdziesiąt na klatę! To trzy razy ja! – odparła rozmarzona.

Cudem powstrzymałam jęk odrazy, ale Cameronowi nie udało się nie zaśmiać. Na szczęście zrobił to cicho.

– Jest megaprzystojny! Dziewczyno, widziałas jego uśmiech?!

– No to muszę cię rozczarować, nie masz o czym marzyć! – rzekła blondynka. – Cassie mi powiedziała, że podobno od jakiegoś czasu się z kimś spotyka. Nazywa się Victoria Clark i jest maturzystką. Kiedyś się nie znosili, ale całowali się raz w schowku i od tego czasu są widywani razem. Ich rodzice się przyjaźnią. Podobno jest ładna i wysoka, ale niemiła.

– Kurde, no szkoda...

Moje serce zamarło, by potem zacząć wybijać nienaturalnie szybki rytm, Theo opłuł się całą, Mia zamaskowała uśmiech udawanym atakiem kaszlu, a Cameron zakrztusił się własną śliną. Miałam ochotę roztrzaskać potylicę dwóch nieznajomych dziewczyn, a następnie wyjść, byleby tylko nie musieć dłużej znosić tego upokorzenia.

– Jakim cudem ktoś może insynuować coś takiego? – wycedziłam do Camerona. – To już nie da się *przyjaźnić* bez jakichś teorii spiskowych? – powiedziałam głośniejszym głosem, tak by usłyszała mnie Mia, ale ona była zajęta wybieraniem niespalonego popcornu z pudełka.

Zdecydowałam, że odłożę tłumaczenia na niedzielne spotkanie w zamku Robertsów. Musiałam się postarać, aby ją przekonać, że między mną i degeneratem nic się nie dzieje.

Nagle sędzia zagwizdał, a nasz sektor zawył w oburzeniu. Luke leżał pod koszem, trzymając się za kolano. Najwyraźniej popchnął go stojący nad nim zawodnik South w koszulce o numerze trzynastcie.

– To foul! – krzyknął Theo.

Shey ekspresowo znalazł się obok nich, po czym beczernie odsunął trzynastkę od Luke'a. Wściekły blondyn krzyczał, odgrając się, ale degenerat również nie pozostał bierny – mówił coś z zapalem, wciskając palec w jego tors. Był wyższy, większy i prawdopodobnie o wiele silniejszy. Słowami rozjuszył trzynastkę do tego stopnia, że ten spróbował go odepchnąć, ale równie dobrze mógłby napierać na ścianę, bo Shey nawet nie drgnął, a w odwecie jednym ruchem posłał chłopaka z przeciwnej drużyny na parkiet. Blondyn upadł z łoskotem.

Shey na tym nie poprzestał. Furia, która malowała się na jego twarzy, wskazywała, że zamierza zakatować trzynastkę. W porę drogę zablokował mu Matt. Pozostali zawodnicy się zbiegli, sę-

dzia gwizdał, kibice buczeli. Rhys, Lily i ich świta gorączkowo między sobą szeptali.

– I dobrze mu tak, sfaulował kapitana! – darł się ktoś za mną.

W tym chaosie przyjrzałam się Sheyowi. Matt ze Scottem coś gorliwie mu tłumaczyli, ale on nie wyglądał, jakby słuchał, bo wzrokiem wodził po trybunach. Znów, tak jak przed kilkudziesięcioma minutami, lustrował je wzdłuż i wszerz.

– Czy on... Czegoś szuka? – zdziwił się Cameron.

– Raczej kogoś – poprawiła go Laura.

Zorientowałam się, że zaciskam dłoń w pięść. Wyprostowałam palce.

Poszukiwania Sheya przerwał komunikat, że razem z trzynastką schodzi z boiska, co poskutkowało wygwizdaniem sędziego. Shey prowadzony przez trenera Robinsona opuścił pomieszczenie, a gdy Luke wstał i oznajmił, że może grać dalej, wznowiono mecz.

Wiedziałam, że nie wytrzymam ani minuty dłużej w tym zgiełku.

– Jadę do domu, źle się czuję – poinformowałam.

Po krótkim pożegnaniu z wyraźnie niepokieszonym Cameronom i resztą zabrałam Theodorowi, który i tak po meczu jechał do Jasmine, kluczyki od camaro. Wysłam z hali. Odetchnęłam z ulgą, kiedy hałas stał się przytłumiony. W obawie, że kogoś spotkam, ominęłam główne drzwi prowadzące na zewnątrz i położyłam przed siebie pustą drogą ewakuacyjną.

Dotarłam do rozwidlenia korytarza. Intuicyjnie skręciłam w prawo. Przeszłam przez drzwi, ale zamiast na zewnątrz, trafiłam do szatni, w której na środku stały trzy rzędy białych szafek. Pomiędzy nimi znajdowały się ławki zavalone ubraniami i torbami sportowymi.

Zaprzestałam jakichkolwiek ruchów, kiedy ciszę przerwał potężny huk przypominający mocne uderzenie czymś ciężkim w metalowe drzwiczki. Zza ostatniego rzędu szafek wyłonił się

Shey. Przeczesując palcami wilgotne od potu włosy, zrobił trzy kroki i zadarł brodę. Dostrzegłszy mnie, od razu się zatrzymał. Złość, która wykrzywiła mu twarz, błyskawicznie odeszła w niepamięć. Zastąpiło ją zaskoczenie. Uchylił delikatnie wargi.

Kurwa.

Przez moment, który zdawał się zdecydowanie zbyt długi, patrzyliśmy sobie w oczy.

Byliśmy spięci i czujni, powietrze zgęstniało do tego stopnia, że mogłabym zawiesić w nim siekiere, a następnie odciąć sobie nią głowę.

Shey odezwał się jako pierwszy.

– Przyszłaś – szepnął niemal z niedowierzaniem.

Ogień zajął mi przełyk. Skarciłam się w duchu za tę niechcianą reakcję organizmu.

– Cóż, zostałam zmuszona. – Oczyszczałam gardło, by pozbyć się chrypki. – Przez mamę. Nie miałam wyjścia, choć nie jest to moja wymarzona sobota.

– Jasne. – Skinął.

Znów pograżyliśmy się w ciężkim milczeniu. Poprzedni wieczór odcisnął na nas piętno, Shey również był tego świadom, zdradziły go napięte ramiona i to, że co rusz uciekał wzrokiem.

Ta noc nic nie znaczyła.

– Gdyby to była szatnia South, miałybyś spore problemy – zauważył.

– Cóż, na szczęście nie jest.

On nie wie, co się działo po tym, jak wróciłaś do domu – szeptała podświadomość. On nic nie wie i nigdy się nie dowie, jak słaba jesteś. Jest tak jak zawsze.

Odzyskałam trzeźwość umysłu.

– Jasmine zdała zaliczenie – powiedziałam.

– Wiem to od Scotta. Nie jestem zdziwiony, nasza pomoc domowa świetnie gotuje – odrzekł nieskromnie.

– Udało się. Dlatego żądam, żebyśmy zapomnieli o wczorajszym wieczorze.

– Żądasz? – zakpił z szyderczym uśmieszkiem. – A skąd przeświadczenie, że w ogóle możesz czegośkolwiek żądać? – Założył ręce na piersi.

Zerknęłam na ułamek sekundy na jego napięty biceps.

– Nie potrzebuję przyzwolenia, jeśli mam taki kaprys. – Nonszalancko oglądałam swoje paznokcie. – Wczoraj byłam nieźle straumatyzowana, ale tak jak ci zapowiedziałam, szybko sobie z tym poradziłam. Mamy plan do zrealizowania, tylko na tym chcę się skupić. Nie mam czasu na kłótnie z tobą czy dziecinne przepychanki. Myślę tylko o bilecie. Chcę go jak najszybciej odzyskać, żeby uwolnić się z tego układu. I od ciebie.

Wracaliśmy na właściwe tory, z których niepotrzebnie zboczyliśmy w rezydencji Mitchellów. Nerwowość, która przesycała powietrze, zanikała, ustępując miejsca złości i pogardzie, jakie względem siebie żywiliśmy.

Shey wzruszył barkiem z nieodgadnioną miną.

– Zapomniałem o tym wieczorze, gdy tylko wyszłaś z mojego domu. Nie jesteś dla mnie na tyle ważna, bym rozpamiętywał czas spędzony w twoim towarzystwie. – Był zaskakująco ugodowy i kompletnie wyprany ze wszelkich emocji, a prócz tego dumny, wyniosły i sztuczny.

Dziwnie lepkie uczucie, którego dotąd nie znałam, rozlało się po moim wnętrzu i sklepiło mi płuca, utrudniając swobodne oddychanie.

– To dobrze.

Napięcie nie zniknęło – ono zelżało, zmniejszyło się niemal do minimum, ale nie pozbyliśmy się go. Wciąż unosiło się w przestrzeni pomiędzy nami, gdy wymienialiśmy twarde spojrzenia. Było nowe, nieznane, inne i *piekielnie nieprzyjemne*.

Nie wiedząc, co innego miałabym zrobić, po prostu je zignorowałam.

Mimo że zdecydowanie *ta noc nic nie znaczyła*, musiałam jak najszybciej wydostać się z szatni.

– Idę, nim ktoś nas zauważy.

Dlaczego nie wyszłam bez pożegnania?

– Wracasz na halę? – Głos miał płaski, był ni to zainteresowany, ni oschły.

– Nie. Jadę do domu. – Dalej nie uchyliłam drzwi. – Mam sto lepszych zajęć. Wolę skupić się na którymś z nich, zamiast tu siedzieć i obserwować te miernoty z naszej szkoły.

– Hej! Nie obrażaj mojej drużyny – starał się być groźny, ale nie dał rady ukryć rozbawienia.

– Bo co? Popchniesz mnie? – zadrwiłam sucho.

Wyprostował się, natychmiast odpuszczając bojową postawę. Lekko, nerwowym ruchem potarł kark. Był zakłopotany i zmieszany, jakby zrobił coś naprawdę złego.

– Sfaulował Luke’a, nie mogłem tego odpuścić – wymamrotał cicho, niepewnie, *wstydliwie*. – Choć zapewne nie powinienem był dać się ponieść emocjom.

Wyrzuty sumienia, jakie czuł z powodu tego niesportowego zachowania, piętrzyły się w nim, widziałam to jak na dłoni. Zastanawiałam się nad odpowiednim ruchem. Miałam dwie opcje – opuścić szatnię lub odpowiedzieć.

– Dobrze zrobiłeś. W związku z tym faulem na Luke’u. Patrzenie, jak go popychasz, było w dziwny sposób... satysfakcjonujące.

Przypatrywał mi się z mieszkanką zszokowania i ulgi, jakby moje słowa uleczyły w nim coś, co nie dawało mu spokoju.

Dyskretnie przełknęłam ślinę, tłukąc się w duchu pogrzebaczem do kominka za to, że w ogóle się odezwałam. Po co to robiłam? Podjęłam złą decyzję, kolejną w przeciągu kilkunastu godzin.

Chłopak przechylił delikatnie głowę.

– Po pierwsze, to bardzo niepokojące, że coś takiego cię satysfakcjonuje. – Wydawał się coraz bardziej rozbawiony. – Po drugie, przez to zachowanie mam zakaz gry do końca drugiej kwarty.

Mogę wrócić dopiero po długiej przerwie. Nie chcę, aby przeze mnie stracili prowadzenie – dodał poważnym tonem. Przeczesał zmierzwione włosy, po czym złączył palec wskazujący i środkowy, zgął je i poprawił złoty krzyżyk ukryty pod koszulką.

Wychwyciłam pod opuszkami słabe pulsowanie ścian jego tętnicy. Mogłam wyczuć, jak przepływa przez nią krew. Pulsowanie było równomierne, spokojne. Raz – dwa. Raz – dwa.

Z kamienną twarzą powróciłam wzrokiem do jego oczu.

– Czyżbyś był takim narcyzem, aby uważać, że bez ciebie przegrają? Czy może sam wiesz, że jako tako ratujesz honor tej drużyny? – rzuciłam naprędce, byleby pozbyć się przekłętego wspomnienia chwili, której nie chciałam pamiętać.

– Czy to komplement? – Ułożył wargi w cyniczny półuśmiech. Powrócił mu dobry humor.

Nie dałam się zbić z pantafyku.

– Jaki to komplement, że jest się najlepszym z najgorszych?

– W ustach *Victorii Clark*? Ogromny – powiedział powoli, ochryple, w irytujący sposób akcentując „k”.

Zimny dreszcz obrzydzenia targnął moim ciałem. Zapragnęłam zaczerpnąć świeżego powietrza, więc w końcu nacisnęłam klamkę, ale nim przekroczyłam próg, Shey mnie zatrzymał.

– Będziesz na dzisiejszej imprezie? – choć zapytał, brzmiał, jakby go to nie interesowało.

– Nie.

– Czemu? Nie chcesz świętować zwycięstwa? Myślałem, że dla ciebie każdy powód do picia alkoholu jest dobry.

Prychnęłam.

– Nie wiesz, czy wygracie – zauważyłam z politowaniem.

– Prowadzimy jedenastoma punktami. – Zmarszczył brwi, rozkładając ręce tak, jakby właśnie znalazł rozwiązanie każdego z siedmiu problemów milenijnych.

– Te patafachy mogą to łatwo zaprzepaścić – szdyżiłam. – Gdybyście mieli większą przewagę punktową... wtedy może

i rozumiałabym twoją pewność siebie. A teraz? Wyjdiesz na kompletnego idiotę, jeśli przegracie.

Nie uraziłam go, zamiast gniewnie coś odszczeknąć, on głęboko się nad czymś zastanawiał.

– To iloma punktami mielibyśmy prowadzić, żeby nie wyszedł na tego idiotę w twoich oczach? – dociekał.

– W moich oczach zawsze na niego wyjdiesz – dociełam mu, ale on wciąż czekał na prawdziwą odpowiedź. Westchnęłam. – Mógłbyś dobić jeszcze trochę. Tak do dwudziestu dwóch.

– Czemu do dwudziestu dwóch?

– Lubię tę liczbę – wyznałam, o dziwo, szczerze.

Nie skontrował tego, był nieprzenikniony.

– Poczekaj do tej długiej przerwy i to wygraj. Nie lubię zadować się z przegranymi. – Machnęłam nonszalancko ręką.

Zmrużył jedno oko.

– Czyli na mnie liczysz? – Błysnął irytująco zębami.

– Nie. To raczej rozkaz. Będzie mi wstyd pokazywać się z tobą w szkole, jak przegrasz – odparłam pogardliwie.

– Trochę ci nie wierzę. – Zacmokał.

Skrzywiłam się z odrazą.

– To trochę uwierz. A teraz idę.

Otworzyłam drzwi szerzej. Spojrzenie Sheya wypalało mi dziury w plecach, toteż kierowana jakimś paskudnym impulsem, popatrzyłam na niego.

– *Degeneracie* – zaczęłam z dumą.

Mogłabym przysiąc, że wargi Sheya zadrżały, gdy usłyszał to słowo.

– Mhm? – Oparłszy brodę na kciuku, przyłożył palec wskazujący do ust. Hamował wesołość, której *abso-kurwa-lutnie* nie nawidziłam.

– Jeśli sytuacja się powtórzy, możesz zrobić to znowu – zmusiłam się do mówienia. – No wiesz, ten faul na Luke’u.

– Zdajesz sobie sprawę, że namawiasz mnie do bardzo złej rzeczy, prawda? Jeśli zrobię to jeszcze raz, posadzą mnie na ławce do końca meczu.

Rozłożyłam ręce, wzruszając beztrzesko ramionami.

– Ale czy satysfakcja nie jest tego warta?

Podarował mi delikatny, daleki od kpiny, cynizmu czy szyderstwa uśmiech. Był szczery, słaby, ale się pojawił.

To natychmiast sprawiło, że wróciłam na ziemię. Wysłałam z pomieszczenia. Nie rozumiałam, dlaczego wdałam się z nim w jakąkolwiek dyskusję. Powinnam była odejść, gdy tylko wyłonił się zza szafek!

W drodze do samochodu pozbyłam się niezidentyfikowanej lepkiej mazi z płuc, było mi z tym lepiej i poczułam się o wiele bardziej stabilnie. Wsiadłam do camaro. Zdecydowałam, że puszczę w niepamięć tę dziwną rozmowę.

Shey był nikim.

Z tą myślą dotarłam do domu.

Korzystając z faktu, że nikt nie siedział w kuchni, niepostrzeżenie przemknęłam do swojej sypialni. Odetchnęłam z ulgą, bezpieczne mury mojego pokoju były jak forteca, w której egzystowanie stawało się łatwiejsze. Opadłam plecami na kanapę. Przez jakiś czas obserwowałam sufit, aż w końcu zerknęłam na bukiet piwonii.

Napędzana coraz większą złością, zerwałam się na równe nogi i z wazonem pod pachą ruszyłam do drzwi, gotowa wyrzucić to przekłete zielsko. Gdy złapałam za klamkę, niespodziewanie dostrzegłam pomiędzy kwiatami mały liścik. Ledwo wystawał spomiędzy ściśniętych łodyg, zupełnie jakby ktoś wsadził go tam po to, by pozostał niezauważony.

Z trudem go wyciągnęłam. To nie była kolejna koperta, tylko zwykły skrawek papieru. Rozpoznałam znajome, eleganckie pismo Sheya.

Naprawdę dziękuję, że nie zrezygnowałaś po naszym pierwszym spotkaniu, choć było raczej katastroficzne. Szczerze to doceniam. I wszystko, co dla mnie robisz.

Nawet się nie podpisał. Ot tak, naniósł kilka prostych zdań na kartkę. Zmieszałam się, ponieważ my nie bywaliśmy sobie wdzięczni, nigdy, bo nie mieliśmy za co. Podświadomość przypomniała mi o ostatnim wieczorze.

Dziękuję. Szczerze. Za to wszystko, co zrobiłaś. Że nie zostawiłaś mnie w tym stanie.

– Ta, z pewnością nie bywamy sobie wdzięczni – mruknęłam sarkastycznie.

Stałam na nieznanym brzegu oceanu, w którym nigdy nie pływałam i którego wody zalewały mi płuca. Znów źle mi się oddychało. Dlaczego ostatnimi czasy miałam z tym taki problem?

Przeczytałam wiadomość ponownie. Liczyłam, że dzięki temu znów poczuję znajomą furję, ale nic takiego się nie wydarzyło. Byłam obojętna, niewzruszona i może lekko zaskoczona, że ktoś tak sztuczny i zakochany w sobie jest w stanie podziękować drugiemu człowiekowi. Że pomimo żywej do mnie nienawiści Shey doceniał to, co dla niego robię, nawet jeśli często go wykorzystywałam z własnych egoistycznych pobudek.

Shey był mi *wdzięczny*. Lub kłamał, że jest, by udąć życzliwego.

Przymknąwszy na kilka sekund powieki, odliczyłam do trzech, po czym wrzuciłam list do szuflady wstydu.

Odstawiłam wazon na stolik.



Theo wrócił do domu po ósmej, i to zaledwie na godzinę. Zapukał i wpadł do mojego pokoju, gdy siedziałam na kanapie w sypialni, czytając książkę. Uśmiechał się od ucha do ucha.

– Wyyyygraliśmy! – zawołał, przeciągając samogłoskę. – Nie mieli z nami szans. Jak Nate wrócił na trzecią kwartę, to South płakało głośniejsze niż dzieci. Chłopaki z drużyny wynieśli go z hali do szatni na rękach.

Ta nowina mnie nie zdziwiła, choć chciałam, by było inaczej.

– Och, doprawdy, niesamowite wieści – westchnęłam znużona, przewracając kolejną stronę powieści. – Już widzę, jak się tym przechwala.

– Jedziesz ze mną na imprezę? Niedługo się zaczyna.

– Nie. Mama dalej odsypia dyżur, więc nie będzie naciskać. Jak wstanie, powiem jej, że źle się czuję.

Theo złapał za kłamek, podczas gdy ja udawałam, że chłonę treść *Małego życia*.

– Szkoda. Wszyscy liczyli na to, że jednak się pojawisz – powiedział cicho.

Miałam ochotę sucho się zaśmiać w reakcji na to wierutne kłamstwo.

– W takim razie życzę ci dobrej *samotnej* nocy, siostró. – Theodor wyszedł z pokoju.

Uniosłam wzrok na kwiatki wazonie. Nie zamierzałam przekraczać dziś progu rezydencji Mitchellów, nawet jeśli kilka razy to rozważałam.

Mój telefon się podświetlił.

Cameron Wilson:

Lepiej się czujesz? Głowa cię już nie boli?

Victoria:

Jest lepiej.

Cameron Wilson:

Właśnie jadę na imprezę. Będziesz?

Victoria:

Nie. Wystarczy, że dałam się namówić na mecz.

Cameron Wilson:

No proszę. Nie chcę iść tam sam. Chcę pójść z tobą i z tobą się bawić. Chcę spędzić ten wieczór z moją przyjaciółką. Zrobisz to dla mnie?

Mimo że kącik moich ust poszybował ku górze, byłam bezlitosna.

Victoria:

Nie.

Ilekczo próbowałam się skupić na książce, myślami wracałam do SMS-ów Camerona i słów Theo. Cieszyłam się z wolnej soboty. Na imprezie i tak nie bawiłabym się dobrze, nie ze świadomością, że degenerat pławi się w blasku chwały, otoczony zakochanym w nim tłumem.

Maltretując zębami dolną wargę, zerknęłam na toaletkę i zirytowana nieporządkiem, jaki na niej panował, dźwignęłam się na nogi. Odkładałam kosmetyki na właściwe miejsca, kiedy w oczy rzucił mi się zeszyt Sheya, który wypadł mu z plecaka w bibliotece podczas przerwy obiadowej. Przewertowałam go.

– Po co cię jeszcze trzymam? – prychnęłam.

Nagle spomiędzy stron wyleciała jakaś kartka i upadła na podłogę. Schyliłam się po nią i dostrzegłam, że to zdjęcie. Fotografia przedstawiała Mię w pięknej sukience na jednym z bankietów. Uśmiechała się do obiektywu, obejmując kogoś ręką w pasie, ale ta osoba została wycięta.

– Odrażające – wymamrotałam z niesmakiem. – Żałosny krety.

Ucieszyłam się w duchu, że to ja znalazłam ten zeszyt, a nie ktoś niepożądany, bo gdyby Mia się dowiedziała, że degenerat ma na jej punkcie obsesję, zapewne nie chciałaby mieć z nim

nie wspólnego. Zawrzała we mnie złość. Decyzję o pojechaniu na imprezę podjęłam błyskawicznie. Musiałam przekazać Shey-owi, że ma nie sabotować naszego planu swoim idiotyzmem.

W ekspresowym tempie poprawiłam makijaż i rozpuszczone włosy, zmieniłam dres na dopasowaną czarną sukienkę do połowy uda i wsunęłam na stopy długie kozaki na cienkiej szpilce. Zeszyt wcisnęłam do torebki.

– Idziesz do swojego chłopaka? – droczył się Dante po tym, jak mu rozkazałam, aby przekazał rodzicom, że jestem u Mitchellów.

– Nie mam chłopaka – odparłam, zarzucając na ramiona czarne futro.

– A Nate? – drążył, kręcąc się na stołku przy wyspie kuchennej.

– To kolega. Koniec tematu – ucięłam.

Po opuszczeniu domu wsiadłam do zamówionego wcześniej ubera. W trakcie podróży dostałam wiadomość.

Chris Adams:

Hej Vic! Theo powiedział że nie będzie cię na imprezie ale mimo wszystko razem z Mią liczymy że się pojawisz 😊❤️

Przeczytałam tekst jeszcze kilka razy, pewna, że mam halucynacje. Nie wiedząc, jak się zachować, schowałam telefon do torebki.

Pod rezydencją Mitchellów zaparkowano dziesiątki aut. Wraz z kilkoma nowo przybyłymi gośćmi weszłam do budynku, mijając po drodze dwóch ochroniarzy. Jednym z nich był Borys. Skinął mi na powitanie.

Rozejrzałam się po foyer, a wspomnienia z poprzedniej nocy dały o sobie znać. Powstrzymałam ich napływ, oczyściłam gardło i z wysoko uniesioną głową przeszłam korytarzem do głównej sali, gdzie głośna muzyka wprawiała kryształowe żyrandole w drżenie. Powietrze cuchnęło alkoholem. Lustrowałam gęsty

tłum, ale nigdzie nie zauważyłam Camerona ani Theodora i wtedy zrozumiałam, że popełniłam błąd, przyjeżdżając tu.

Zamierzałam się wycofać, jednak nim się odwróciłam, zobaczyłam Sheya.

Stał kilka metrów dalej, otoczony wianuszkami nieznanych mi ludzi, i jak zwykle sztucznie się uśmiechał. Przeszczęśliwa Severine obejmowała go w pasie, ale on zdawał się ją ignorować. Wygłaszał monolog ku uciechu swojej świty, której członkowie raz po raz wybuchali gromkim śmiechem. Bianco nie wyglądała, jakby ten stan rzeczy ją martwił, wręcz przeciwnie, miała taką minę, jakby bycie uczeptioną do jego boku stanowiło szczyt jej marzeń.

Niespodziewanie Shey zadął podbródek i nasze spojrzenia spotkały się pośrodku zatłoczonej sali. Zastygł w bezruchu, poważniejąc. Spięłam się, zła, że dałam się przyłapać na czymś tak żenującym jak obserwowanie go. Zrobiłam krok do tyłu, kiedy on, kompletnie lekceważąc niezadowolone tłumy, uwolnił się z uścisku szokowanej Severine. W akcie desperacji dziewczyna złapała go za łokieć, ale od razu się wyrwał. Nawet na nią nie zerknął, nie poświęcił jej grama uwagi, bo wciąż patrzył mi w oczy.

Podążyłam do wyjścia, w duchu licząc na to, że Shey zmieni kurs lub zwyczajnie odpuści. Czułam, że za mną idzie. Wzrokiem wypalał mi kraterę w plecach. Byłam w połowie korytarza, kiedy mnie wyprzedził i zaszedł mi drogę. Gwałtownie się zatrzymałam, w ostatniej chwili wyhamowując przed zderzeniem.

Shey odetchnął i przełknął ślinę.

– Cześć – wychrypiął cicho.

Prawie wypłułam płuco, kiedy sobie uzmysłowiłam, że przed nim *uciekałam*. Opanowałam mdłości.

– Po co mnie zatrzymujesz? – zapytał oschle, z pogardą.

Nie uraziłam go, a jeśli czuł się niezręcznie po dzisiejszej rozmowie w szatni, idealnie to zamaskował. Uniósł kącik ust,

policzki miał zaróżowione, źrenice nieco szersze niż zwykle. Był pijany.

– Żeby się przywitać. – Jak gdyby nigdy nic przeczesał palcami rozwiane włosy. – Poza tym to ty mnie obserwowałaś. – Emanowała z niego wesołość wywołana alkoholem.

– Nie obserwowałam ciebie, tylko tę rudą biedaczkę – szylałam na bieżąco.

– W porządku – potaknął. Przyglądał mi się ze skupieniem, badawczo, uważnie. – Powiedziałaś, że nie przyjdiesz. Jestem zaskoczony. Czyżbyś zrobiła to dlatego, że chcesz mnie przeprosić?

– Przeprosić? – powtórzyłam drwiącym tonem. – Niby za co?

– Myliłaś się. Utrzymaliśmy prowadzenie. Więc nie jestem w twoich oczach idiotą. – Był pewny siebie, nad wyraz rozbaawiony, kąśliwy, ale nie szorstki.

Uśmiechnąwszy się z politowaniem, założyłam ręce na piersi.

– Byłbyś nawet wtedy, gdybyście zdobyli milionową przewagę.

Zacmokał, zamykając jedno oko.

– Niemile, ale sam ci się podłożyłem, więc chyba nie mogę narzekać. – Rozłożył ręce.

Cisza, jaka między nami zapanowała, pachniała perfumami Versace. *Nieprzyjemne* napięcie sprawiło, że włosy na moim ciele się zjeżyły, a wzdłuż kręgosłupa przebiegł dreszcz.

Kiedy planowałam odejść, Shey się odezwał.

– Więc to teraz twoja taktyka? – spytał z zainteresowaniem. – Mówić mi, że gdzieś cię nie będzie, tylko po to, aby niespodziewanie się tam pojawić?

– Nie przypominam sobie, abym musiała ci się spowiadać z tego, jakie miejsca odwiedzam – zakpiłam bojowo.

Chciałam wyprowadzić go z równowagi, pragnęłam wojny, kłótni, rozlewu krwi, wszystkiego, co mieliśmy przez ostatnie cztery lata, ale on był zbyt pijany i zdecydowanie zbyt radosny,

by się na to zgodzić. Nie poddał mi się, zamiast tego błysnął równymi zębami w chytrym uśmiechu.

– Nie musisz, ale możesz. Wtedy ja będę je odwiedzać tylko po to, by zrobić ci na złość.

– Jesteś odrażająco pijany – zauważyłam z niesmakiem.

– Jestem pijany, ale nie odrażająco. W tę fazę planuję wkroczyć około północy. – Lekko zwilżył językiem spierzchnięte wargi. – Możesz dołączyć.

– Wolałabym dać się zeżreć rekinom – wyartykułowałam stanowczo.

– Więc po co tu przyjechałaś, jeśli nie się bawić? – Założył ręce na piersi.

Wreszcie przypomniałam sobie o zeszycie.

– Bo chciałam...

Przerwało mi pojawienie się wysokiego, postawnego blondyna.

– Nate! – zawołał nieznajomy, wciskając degeneratowi butelkę piwa w dłoń. – Luke cię szuka. Podobno jest jakiś problem z muzyką.

– Zaraz przyjdę – rzucił zdawkowo Shey, ale nawet na niego nie popatrzył. Wciąż spoglądał mi w oczy.

– Nie zaraz, teraz. Musisz iść, bo tłum się niecierpliwi. Od dziesięciu minut leci ta sama piosenka.

Nie czekając na przyzwolenie, blondyn chwycił Sheya za ramię. Degenerat mu się poddał i pozwolił się ciągnąć po korytarzu, ale wciąż ani na moment nie przerwał naszego kontaktu wzrokowego. Mimo że szedł tyłem i co rusz wpadał na przypadkowych ludzi. Mimo że nieznajomy ciągle coś do niego mówił. Mimo że goście go zagadywali. Nie odpowiedział nikomu. Wpatrywałam się w jego nieskalaną emocjami twarz, dopóki nie pochłonął go tłum.

Przełknęłam ślinę, ale nie miałam nawet minuty na to, by przetrwać przebieg naszej dziwnej wymiany zdań, bo dopadł mnie Cameron, który pojawił się znikąd.

– Victoria! Przyszłaś! – ucieszył się.

Bez zastanowienia wyrwałam mu drinka i wypilałam całą zawartość. Piekielnie gorzki, paskudny smak sprawił, że aż się skrzywiłam.

– Co się, kurwa, ostatnio ze mną dzieje?! Zepsuły mi się kubki smakowe?! – syknęłam do samej siebie.

– Nie wiem, ale wiem, że właśnie wyzerowałaś szklanekę łychy – mruknął z uznaniem. – Coś się stało?

– Oczywiście, że nie, wszystko jest w jak najlepszym porządku – powiedziałam bez namysłu. – Po prostu degenerat wyjątkowo mnie drażni. Jest zbyt ucieszony. Muszę jak najszybciej zepsuć mu dzień, aby odzyskać humor.

Sama sobie uwierzyłam w to wytłumaczenie.

– Rozmawiałaś z nim? – zdziwił się.

Odkasznęłam, rozglądając się po foyer.

– Zamieniliśmy ze dwa zdania – skłamałam.

– To git. Co się stało, że przyjechałaś? – zapytał podekscytowany. – Zresztą nieważne, nie mów. Pewnie zaraz powiesz, że sobie jedziesz, a na to nie pozwolę.

– Cóż, właśnie taki miałam pla... – zaczęłam.

– La, la, la, nie słyszę cię! – krzyczał, zakrywając uszy dłońmi.

Prychnęłam, potrafił być taki dziecinny.

– Chodźmy do reszty! Proszę! Chociaż na kilka minut. Proszę!

Odetchnęłam z wyraźnym znużeniem.

– Zgadzam się tylko z jednego powodu. Bo wiem, że nie odpuścisz.

Cameron pomachał zwycięsko pięścią.

– I dlatego, że chcę się napić czegoś mocnego. Najlepiej Long Island z podwójną tequilą.

– Mówisz, masz!

Pozwoliłam zaciągnąć się do kąta, w którym na jednej z kanap siedzieli Mia i Chris, a na drugiej Theo z Jasmine. Wiedziałam, że nie zabawię z nimi długo. Chciałam zostać na kilka chwil, by wypić drinka czy dwa.

– O, Vic! Super, że jesteś! – Chris w geście powitania potrząsnął szklaneczką z rumem.

– Za każdym razem, gdy tak do mnie mówisz, mam ochotę wlać ci rozpuszczalnik do gardła.

Absolutnie nie wziął sobie moich słów do serca, posłał mi całusa w powietrzu.

– Jednak przyjechałaś? – zapytał mój brat.

Cameron oddalił się do baru po drinki.

– Jak widać. Musiałam coś załatwić, przyszedłam tu przy okazji. – Splotłam ręce na piersi.

– I całe szczęście, impreza jest naprawdę dobra. – Jasmine zerknęła na puste naczynie przed sobą. – I mają naprawdę mocny alkohol. Zaczynam czuć się pijana.

– To nie przez mocny alkohol, ale przez fakt, że skończyłaś już czwartego drinka – rzuciła rozbawiona Mia.

– Nie, to zdecydowanie przez mocny alkohol – broniła się Jasmine.

Obserwowałam ludzi tańczących na prowizorycznym parkiecie, dopóki nie wrócił Cameron. Zaraz za nim szli Scott z Laurą.

– Patrzcie, kogo znalazłem! – poinformował Wilson. Podał mi szklankę z ciemnobrązowym trunkiem.

Kiedy reszta witała się z nowo przybyłymi, ja upiłam spory łyk alkoholu. Wydełam usta i omal nie wypłułam całej zawartości. Przycisnęłam palce do warg.

– Co jest? – zmartwił się Cameron. – To dokładnie to, o co prosiłaś.

– Okropnie gorzkie – mlasnęłam niezadowolona – nie tak zapamiętałam ten smak.

– Może użyli innych składników? – zastanawiał się Cameron.

– Victorio! – Radosny krzyk Scotta przerwał naszą konwersację. – Dzięki tobie miałem szansę zagrać. Cieszę się, że wtedy przystałem na twoją propozycję. Dziękuję ci, to twoja zasługa.

Zmusiłam się do słabego uśmiechu.

– Nie ma problemu – odparłam.

Chociaż ty jeden się cieszysz – zakpiłam w myślach.

– Ja też ci dziękuję, Victoria – dodała Laura. – Dzięki tobie teraz mam superkompana na zajęcia. Z Jasmine wygrywamy każdą konkurencję! – ekscytowała się. – Wiecie, jak ona świetnie filetuje ryby?

Opróżniłam połowę swojego Long Island.

– Hej, a ja nie byłem dobrym kompanem? – nadąsał się Scott.

Laura przytknęła mu do ust butelkę piwa.

– Pij, pij, kochanie – zachęciła.

– Ależ doborowe towarzystwo! – Luke zwrócił uwagę wszystkich. On i Matt podeszli do nas z wesołymi uśmiechami. – Dlaczego nie zawołaliście, abyśmy dołączyli? Teraz czujemy się wykluczeni.

– Ciężko się wbić w wasze kółko wzajemnej adoracji. – Mia założyła nogę na nogę. – Otacza was tylu ludzi, że trudno się do was dostać.

Luke zerknął na nią, nieco poważniejąc.

– Jestem pewien, że jeśli komuś zależy, to znajdzie sposób, by do nas dotrzeć – odparł cicho.

Mia schyliła się po lampkę wina.

– Więc najwidoczniej nikomu z nas nie zależy wystarczająco na waszej obecności – stwierdziła nonszalancko i wciągnęła Camerona w luźną pogawędkę.

Luke obserwował ją przez kilka następnych sekund, po czym przekręcił głowę i zauważył, że na niego patrzę.

– Victorio, jak dobrze cię widzieć. – Był wyraźnie zderwowany. – Chociaż muszę przyznać, że się tu ciebie nie spodziewałem.

– Spodziewaj się niespodziewanego – mruknęłam.

Zasiadł na fotelu. Chris rzucił nieśmieszny żart o koniach, dzięki czemu reszta się zaśmiała. Potem podjęli temat meczu, więc postanowiłam wykorzystać okazję i udać się do

baru. Usiadłam na wysokim stołku, prosząc kelnera o koktajl Toronto.

Studiowałam kolekcję butelek z alkoholem, ale mój spokój nie trwał długo. Przerwał go znajomy, irytujący głos.

– Nie wierzę, że zostałaś.

Przymknąwszy na moment powieki, westchnęłam ciężko i niechętnie odwróciłam się w kierunku stojącego obok Sheya. Opierał łokieć o blat i przyglądał mi się z niewyraźnym, lekko kpiącym i piekielnie zaczepnym uśmiechem.

– Och, bogowie mikrobiologii, to znowu ty – jęknęłam niczym ostatnia męczennica.

– Jestem pewien, że się cieszysz – zadrwił.

Poczułam pieczenie w gardle i nie pomogło nawet dwukrotne przełknięcie śliny. Znów mnie odnalazł i znów, nie wiedzieć czemu, zaczął rozmowę.

Dlaczego szuka kontaktu?

Ten wieczór nie zapowiadał się dobrze.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 



Wbrew intencjom Victorii Clark pozornie idealny układ, który zawarła z trzecim dziedzicem imperium farmaceutycznego, zaczyna przypominać błąd w obliczeniach. Choć mieszkańcy Naperville dali się nabrać, Victoria nie może pozbyć się wrażenia, że straciła kontrolę. Z murów, którymi się otoczyła, jedna po drugiej wypadają cegły.

Zmuszeni do spędzania razem czasu Victoria i Nathaniel poznają się na nowo. Ich plan wchodzi w drugą fazę rozkwitu, w której z cienia wyłaniają się długo tłumione emocje.

Głośne kłótnie zostają zastąpione przez szczere rozmowy, grymasy przez uśmiechy, a skrzępowanie i niezręczność znikają na rzecz poczucia komfortu.

Niespodziewanie rzeczywistość, jaką zna Victoria, rozsypuje się przez zaproszenie do posiadłości Mitchellów. W sali oświetlonej przez kryształowe żyrandole młoda kobieta poznaje mroczne sekrety elity Naperville. Pod perfekcyjnymi uśmiechami miliarderzy kryją rysy na wizerunku i rodzinne traumy, a dziedzictwo przekazywane z pokolenia na pokolenie ma kształt złotej klatki.

Victoria uważa, że zapomnienie i samotność zawsze chronią. Zagmatwane intrygi, towarzystwo kilku ekscentrycznych dusz i bliskość chłopca o czarnych oczach każą jej jednak podejrzewać, że pamięć, choć bolesna, oraz otworzenie się na więzi z innymi, choć trudne, mogą poskładać człowieka na nowo. Victoria uparcie się temu opiera przez nieznosny hałas myśli, które nie pozwalają jej działać inaczej niż dotąd.

Aż w jednym momencie... świat Victorii milknie.



beyA **18+**
beyA.pl



cena: 54,90 zł